ILUSTROWANY

GŁOS NARODU

z dnia 30. Sierpnia 1902 r.

ALEKSANDER DUMAS.

TYSIĄC I JEDEN WIDZIADEŁ.

IV.

Zemsta grobów. (C. d.)

Gdy pan Ledru umilkł, głęboka cisza zaległa zgromadzenie. Opowiadanie jego wywarło na wszystkich wrażenie tak przejmujące, że nikt z obecnych nie czuł się w sile przeciwdziałać mu choćby jednem słowem, lub też najlżejszem poruszeniem.

Z piersi tylko bladej damy wyrwało się zaledwo dosłyszalne westchnienie, a wątła jej postać wstrząsnęła się cała, jakby pod wpływem uczucia nagłej zgrozy.

Zmrok zapadał, a promienie słoneczne niknące na horyzoncie nie znajdowały już dostępu do zacienionego staremi drzewami dworku mera, to też twarze obecnych tonęły w szarym półcieniu, nie dozwalającym prawie odróżnić ich rysów, tylko spoczywająca na ciemnych poduszkach głowa bladej damy, odcinała się nawet teraz na mrocznem tle, nieziemską bladością, powlekającą piękne jej rysy. — W końcu proboszcz Mouille przerwał milczenie.

— Kochany Ledru — rzekł on. — Wierzę najzupełniej w prawdziwość opowiedzianego przez ciebie zdarzenia, i to w najdrobniejszych jego szczegółach, ale powiedz mi proszę, jak sobie tłomaczysz ten fakt niezwykły.

— Nie tłomaczę go sobie wcale, opowiadam po prostu to, co było.

— Czy możesz pan jednak przypuścić? — przerwał doktór — by głowa ucięta była w stanie przemawiać w kilka godzin po odłączeniu jej od ciała.

— Ja nic nie przypuszczam, doktorze — odparł mer. — Wiem tylko, że po tem okropnem zdarzeniu popadłem w ciężką i długą chorobę, po której nie odzyskałem już nigdy dawnych sił i zdrowia.

— Ależ doktorze — przerwał nieśmiało rycerz Lenoir (trzeci przyjaciel mera). — Opowiadanie Ledru nie jest przecie zmyśleniem, ale zdarzeniem rzeczywistem, t. j. faktem materjalnym, podobnie jak i choroba jego, w której go nawet sam doglądałem.

— Cóż stąd? — odrzekł doktór. — Niemniej przeto wypadek ten należy uważać za złudzenie zmysłów, podrażnionych i wyegzaltowanych niezwykłemi okolicznościami, w jakich się wówczas pan Ledru znajdował. Deszcz, wicher, ciemność, przebywanie na cmentarzu, bliskość pomordowanych ciał, wszystko to podziałało na jego wyobraźnię, wywołując w niej pewien zamęt, skutkiem którego zdawało mu się, że widzi to, co widział. Podobnie ludzie obłąkani widzą i słyszą rzeczy nie istniejące, a wszak taka halucynacja jest jakby krótkotrwałym obłędem, którego pamięć zostaje nam później, jak gdyby po śnie przebytym.

— A jednak — wtrącił rycerz Lenoir — zdarzają się wypadki, w których widzenia prorocze, przeczucia, sny, zapowiadają zdarzenia rzeczywiste, które później istotnie mają miejsce. Mogłyżby więc twory nie realne, nie rzeczywiste, zapowiadać istotne zdarzenia i wypadki, które się potem co do joty sprawdziły.

— Czy chcesz pan mówić o sławnem widzeniu króla Szwedzkiego?

— Nie, przypomniałem sobie tylko zdarzenia, których sam byłem świadkiem.

— I kiedyż to?

— Byłem obecnym za czasów rewolucji — profanacji grobów królewskich w Saint Dénis — i mógłbym wam opowiedzieć w jak niezwykłych działo się to okolicznościach.

— Opowiedz pan, opowiedz, proszę! — zawołało kilka głosów naraz.

— Byłem wówczas — zaczął rycerz Lenoir — dyrektorem muzeum starożytności francuskich, i jako taki, obecny być musiałem z urzędu, przy otwieraniu trumien królewskich w lochach Saint Dénis. Stało się to tak. Lud paryzki, przejęty nienawiścią do Ludwika XVI, nienawiścią, której nie zdołała nawet uśmierzyć królewska krew, przelana na rusztowaniu, postanowił wywrzeć swą zaciekłość na wszystkich królach jego rodu. Zwalił się więc 6-go i 8-go sierpnia na groby królewskie w Saint Dénis, i w ciągu tych dwóch dni zniszczył 51 pomników, zabytki 12 wieków historji naszej. Rząd rewolucyjny nie mogąc opanować tego wybuchu wściekłości ludu, postanowił przynajmniej ująć go w jakieś karby, ogłosił więc, że bierze na siebie zbadanie grobów królewskich — i przeniesienie zwłok do jednego wspólnego dołu, celem zatarcia wszelkiego śladu znienawidzonej władzy monarszej. Biedni szaleńcy sądzili, że zdołają jednym zamachem zniszczyć i wymazać z dziejów 12 wieków własnej przeszłości. Wykopano więc pośrodku cmentarza wielki dół, wylany wapnem, gdzie miano wrzucić pośmiertne szczątki tych, co byli twórcami wielkości Francji, od czasów Dagoberta do Ludwika XV. Czyniono to wszystko niby dla wymierzenia sprawiedliwości ludowi i w jego imieniu, w istocie zaś gwoli owym adwokatom, dziennikarzom, prawodawcom rewolucyjnym, których wzrok raziła każda wielkość i świętość, nie mająca związku z ich osobami. Mianowany inspektorem tych badań, rozpocząłem poszukiwania d. 12 października, t. j. w dzień stracenia królowej — a otworzywszy lochy Burbonów, kazałem najpierw wydobyć trumnę Henryka IV-go. Król ten zginął, jak wiadomo, zamordowany w 1610 r. mając lat 57. Pomnik zaś, jego, arcydzieło Jana z Bolonji, zniszczono i przetopiono na grosze.

Zwłoki Henryka IV były zadziwiająco dobrze zachowane, siwiejące włosy i broda, okalające jego oblicze, nadawały mu pewne pozory życia, a gdy go wydobyto z trumny, owiniętego w całun, wzruszenie ogarnęło lud zgromadzony, i omało nie zaczęto wołać, niech żyje Henryk IV. Widząc to dobre usposobienie tłumu, kazałem ustawić ciało królewskie w trumnie pod ścianą w postawie stojącej, przez co postać Henryka IV robiła zdaleka wrażenie istoty żywej, opartej o mur kościelny. Wówczas zaczęła się istna procesja do tych szczątków pośmiertnych króla, który był uważany za ojca ludu. Kobiety przynosiły na ręku małe dzieci, dotykały się całunu, klękano przed zwłokami, i szeptano naokoło — „gdyby wszyscy królowie byli tacy jak ten, biedni ludzie nie byliby tak nieszczęśliwi i w nędzy pogrążeni“. Słowem, jakiś nagły zwrot nastąpił w uczuciach tak niedawno rozwścieczonego tłumu. Następnego dnia prowadzono pod moim kierunkiem dalsze poszukiwania. Wydobyto więc ciało Ludwika XIII, którego rozpoznać można było po dobrze zachowanych wąsach, dalej Ludwika XIV, którego zwłoki wyróżniały się charakterystycznemi wielkiemi rysami Burbonów, zwłoki te były zupełnie zczerniałe — dalej otwierano trumny królowych i rozmaitych książąt krwi. W końcu wydobyto trumnę Ludwika XV. Trumna ta, podług ceremoniału przyjętego w grobowcach królów Francyi, umieszczona była przy progu katakumb, jakby dla przywitania następcy. Wrzucono wnet do wspólnego dołu pośmiertne szczątki kochanka pani Pompadour, i zalano je niegaszonem wapnem, poczem zaczęto składać tamże zwłoki innych królów, prócz Henryka IV, stojącego dotąd w kościele. Doglądałem osobiście tej czynności, usiłując utrzymać w niej pewien ład i systematyczność, gdy naraz uwagę moją zwróciły krzyki jakieś, dochodzące od strony kościoła. Po chwili ujrzałem gromady ludzi ścigających jednego z robotników, i wygrażających mu pięściami, kobiety zwłaszcza były niesłychanie na niego rozjadłe. Gdym spytał o powód zajścia, opowiedziano mi, że nędznik ten powrócił co tylko z placu, na którym stracono królowę. Widocznie krew świeżo przelana podziałała na niego podniecająco, przybiegł więc tu dyszący zwierzęcą niemal wściekłością, a stanąwszy przed trupem Henryka IV, zawołał ochrypłym głosem:

— A ty jakiem prawem stoisz tu sobie spokojnie, kiedy dziś nastały takie czasy, że królom głowy ścinają.

Rzekłszy to, szarpnął lewą ręką za brodę Henryka IV, prawą zaś wymierzył policzek królewskiemu trupowi. Być może, że gdyby postąpił w ten sposób ze zwłokami innego jakiego monarchy, czyn taki uszedłby mu bezkarnie. Ale tu szło o Henryka IV, ulubieńca ludu — powstało więc ogólne oburzenie, i tłum cały uczuł ohydę świętokradztwa. Uderzony szkielet upadł na ziemię z suchym trzaskiem, ale wszyscy obecni rzucili się na sprawcę haniebnego czynu, i byliby go z pewnością na sztuki rozerwali, gdybym go nie otoczył opieką. Uratowawszy mu życie, nie chciałem jednak stawać się niejako wspólnikiem popełnionej przez niego zbrodni, postanowiłem go owszem pozostawić pod pręgierzem powszechnego oburzenia.

— Dzieci moje — rzekłem do robotników — zostawcie tego człowieka własnemu losowi, ten, którego znieważył, potrafi z pewnością zesłać mu z niebios karę, na jaką czynem swoim zasłużył.— Robotnicy usłuchali mnie, i pozwolili winnemu

odejść, rzucając tylko za nim przekleństwa i groźby.

Obawiając się dalszych profanacji, rozkazałem zanieść do wspólnego dołu zwłoki Henryka IV, czego dokonano z najwyższym pietyzmem, składając je zupełnie osobno, przysypując ziemią zamiast wapnem, i oddając mu do ostatka oznaki czci i miłości. Po ukończeniu tej czynności rozeszliśmy się wszyscy do domu, przy kościele pozostał tylko stróż, czuwający tu zawsze o tej porze, z mojego polecenia. Chodził on miarowym krokiem naokoło kościoła, grzejąc się niekiedy przy ogniu, który tu umyślnie dla niego rozpalono. Miał obowiązek zaglądać także czasem do wnętrza kościoła, by się tam nie zakradł złoczyńca jaki, lub złodziej; a wnętrze to przedstawiać musiało dziwnie posępny obraz, przy słabem oświetleniu nocnej latarki. Płyty kamienne w posadzce odwalone, wejścia do lochów ziejące czarną pustką, potłuczone posągi królów i świętych, gdzieniegdzie pootwierane trumny i leżące obok nich szkielety. Nie byłoby nawet dziwnem, gdyby czuwający tu samotnie człowiek doznał uczucia przestrachu pod wpływem ponurego spustoszenia, przywodzącego wciąż na myśl tak bliskie sąsiedztwo śmierci. Na szczęście, stróż nocny nie miał wcale bojaźliwej natury, i na myśl mu nawet nie przyszło zastanawiać się nad okropnością otaczających go obrazów. Chodził spokojnie, miarowym krokiem naokoło kościoła, nasłuchując tylko pilnie, gdy zegar kościelny wydzwaniał godziny i kwadranse, i tak zeszedł mu czas do północy.

Naraz, w chwili, gdy na zegarze wybiło ostatnie uderzenie godziny dwunastej, usłyszał nasz stróż hałas jakiś pochodzący od strony cmentarza. Nie stracił jednak rezonu i uzbrojony w motykę, iść zaczął w kierunku głosów. U wrót już jednak cmentarza przekonał się, że głosy te pochodzą z dołu, gdzie złożono kości królów, a były to jakby wołania o pomoc, przeciągłe skargi i głuche jęczenia. Wówczas odwaga opuściła stróża, i zamiast pójść na miejsce i przekonać się co jest przyczyną tych krzyków, pobiegł do mego mieszkania, a zbudziwszy mnie, opowiedział rzecz całą. Zrazu nie chciałem mu wierzyć, ale gdy otworzywszy okno i wychyliwszy się przez nie, usłyszałem rzeczywiście jakieś jęki, płynące w powietrzu — ubrałem się pospiesznie, kazałem stróżowi zabrać parę pochodni, i udaliśmy się obaj na cmentarz. U wejścia wiatr zgasił nam trzy razy światło, musieliśmy więc postępować po ciemku, i dopiero nad samym prawie dołem mieszczącym kości królewskie, mogliśmy znów zapalić pochodnie. Jęki cichły, w miarę jakeśmy się tu zbliżali, a w końcu ustały zupełnie. Pochyliliśmy się obaj nad otwartą mogiłą, i oświeciwszy jej wnętrze, ujrzeliśmy tam jakąś postać ludzką, dającą jeszcze znaki życia.

— Kto jesteś? — zawołałem do dziwacznego tego towarzysza zmarłych — i co robisz tu o tej porze?

— Panie, jam nieszczęśliwy robotnik, co uderzył Henryka IV.

— Jakim sposobem dostałeś się tutaj?

— Opowiem wam wszystko, ale wpierw wydobądźcie mię stąd.

Jak tylko stróż nocny przekonał się, że nie ma do czynienia z upiorem, lecz z człowiekiem żyjącym, nabrał otuchy, a przywlókłszy z moją pomocą drabinę, spuścił ją do wnętrza dołu. Okazało się jednak, że nieszczęśliwy robotnik złamał sobie nogę, musieliśmy go więc wyciągać na sznurach umocowanych pod pachą. Gdyśmy go wydobyli na wierzch, przytomność go opuściła — i padł na ziemię zemdlony. Przenieśliśmy go wówczas na posłanie ze słomy, urządzone na prędce przy ognisku i wezwaliśmy chirurga, żeby go opatrzył. Po opatrunku odzyskał przytomność, wówczas spytałem go o powód przygody — i opowiedział mi jak się rzecz miała.

Gdym go odprawił z roboty, niebardzo się tem martwił, mając w kieszeni dosyć zarobionego grosza. Udał się też do pobliskiego szynku i kazał sobie podać flaszkę wódki. Zaledwo jednak wychylił pierwszy kieliszek, wszedł do izby właściciel szynku, a zwróciwszy się do niego, spytał:

— Czy to ty znieważyłeś trupa Henryka IV?

— A choćby i ja? — odparł zuchwale robotnik — i cóż stąd?

— To, że nie chcę, żebyś dłużej był pod moim dachem, Nie mam ochoty ściągać nieszczęścia na swój dom.

— Twój dom jest domem wszystkich, i każdy kto zapłacił, ma prawo pozostawać tu ile sam zechce.

— Ale ty nie zapłacisz, a więc nie będziesz miał prawa.

— Jakto nie zapłacę?

— Nie zapłacisz, bo ja nie wezmę twoich pieniędzy. A zatem wynoś się stąd natychmiast.

Robotnik próbował się opierać, ale właściciel szynku wezwał na pomoc trzech tęgich drabów, wobec czego robotnik musiał ustąpić.

Błąkał się więc bez celu po mieście, w godzinie zaś obiadowej zaszedł do garkuchni, gdzie zwykle jadał z towarzyszami. Zaledwo jednak przełknął kilka łyżek zupy, ukazali się na progu powracający właśnie z cmentarza robotnicy, a ujrzawszy go siedzącego przy stole, zatrzymali się wszyscy i oświadczyli jednozgodnie gospodarzowi, że nie wejdą i obiadu nie dotkną, dopóki człowiek ten nie będzie stąd usuniętym.

Zdziwiony gospodarz zapytał za co to wykluczają z pomiędzy siebie swego towarzysza, oni zaś opowiedzieli mu co zaszło na cmentarzu.

— Czy tak — krzyknął oburzony oberżysta — jak śmiałeś wejść pod mój dach, na który ściągniesz przekleństwo? Precz stąd natychmiast — i bodajeś się zadławił strawą, którąś spożył przed chwilą.

Wyklęty robotnik uchodzić musiał rad nie rad, miotając złorzeczenia na towarzyszy, którzy rozstępowali się przed nim, unikając go jak zapowietrzonego. W dodatku nie wpuszczono go na noc do domu, zawsze z tej samej przyczyny.

Rozdrażniony i zmęczony do najwyższego stopnia, położył się na ulicy pod murem na wiązce słomy, która się tam przypadkiem znalazła. — Około północy wydało mu się, że ktoś dotknął jego ramienia; otworzył więc oczy, i ujrzał przed sobą biało ubraną kobietę; kobieta ta skinęła, by szedł za nią. Usłuchał, w mniemaniu, że jest to jedna z tych nieszczęśliwych istot, co krążą w nocy po ulicach miasta, szukając w ten sposób zarobku; wiedząc, że ma ją czem opłacić poszedł za nią, spodziewając się, że zaprowadzi go na nocleg cokolwiek wygodniejszy, niż ten, który mu dziś przypadł w udziale. Biała kobieta



JF. Dr. MNISZECH-TCHÓRZNICKI.
arbiter strony polskiej w sprawie o Morskie Oko.

szła przed nim, oglądając się niekiedy, krążyła przez rozmaite ciasne zaułki, w końcu zaś wyprowadziła go za miasto. I to jeszcze nie zadziwiło robotnika, wiedział, że takie kobiety często bardzo mieszkają za rogatkami, szedł więc jeszcze czas jakiś — naraz wzdrygnął się ujrzawszy przed sobą cmentarz i kościół św. Djonizego. — Kobieta znikła.

Przekroczył mimowolnie bramę cmentarza, później chciał się cofnąć, ale zagrodziło mu drogę widmo Henryka IV-go wyciągające ku niemu groźną rękę, uzbrojoną w żelazne berło. — Robotnik cofnął się krok w tył, — widmo postąpiło naprzód, i tak posuwali się czas jakiś, — nagle uczuł on pustkę pod nogami, — i upadł na wznak do królewskiego grobu. Wówczas otoczyły go widma królów, potomków i poprzedników Henryka IV, i postępowały ku niemu w groźnej postawie, i wyciągały nad nim kościste ramiona, a dotykając go żelaznemi berłami, wołały wszystkie grobowym głosem: „Biada świętokradzcy“. Pod wpływem tych dotknięć uczuł straszliwe palenie i ból w całem ciele, i wtedy wołać zaczął o pomoc, której udzieliliśmy mu — jak to wyżej opowiedziałem.

— Zdarzenie to niczego nie dowodzi — przerwał doktór — robotnik ów miał widocznie głowę nabitą wypadkami, które mu się zdarzyły w ciągu dnia, marzył o nich we śnie, a potem być może w stanie lunatycznym podążył mimowoli w stronę cmentarza. Gdy zaś mu noga się pośliznęła, wpadł w dół otwarty, a ból i przestrach dokonały reszty.

— Czekaj pan — odparł spokojnie rycerz Lenoir — to dopiero początek opowiadania. — Robotnik po krótkiej chwili przytomności wpadł w delirjum, bredził i wydawał bolesne okrzyki, po upływie zaś 3-ch dni, umarł nie odzyskawszy przytomności.

Ja tymczasem prowadziłem dalej poszukiwania w grobach królewskich, a trwało to do 20-go stycznia. Dnia tego otwarto i opróżniono dwa ostatnie groby. Kazałem pozamykać wejścia do podziemi, została tylko jeszcze odwalona płyta, prowadząca do lochów Burbonów, którą miano zamknąć nazajutrz. Stróż nocny spędzał ostatnią noc w kościele św. Djonizego. Nie było już tam nic prawie do strzeżenia, to też pozwolił sobie zdrzemnąć się na chwilę w jednej z ławek, w pobliżu ambony. Pośród nocy obudził go nagle dźwięk organów, i melodyjne głosy śpiewu, płynące gdzieś z góry.

Przetarł oczy i podniósł głowę w stronę chóru, gdzie z największem zdziwieniem ujrzał postacie jakieś siedzące w stallach, przyobleczone w szaty zakonne. Zwrócił się do ołtarza, i zobaczył tam arcybiskupa, celebrującego w uroczystych szatach i przy asystencji licznego duchowieństwa. Pośrodku wzniesiony był wysoki katafalk, otoczony jarzącemi świecami, na katafalku stała trumna, okryta bogatym całunem złocistym, używanym zwykle na pogrzebach królów.

W chwili, gdy stróż się obudził, arcybiskup ukończył był właśnie mszę żałobną, i rozpoczynała się ceremonja właściwego pogrzebu. Trzej heroldowie ujęli czerwoną poduszkę, na której leżała korona, berło i insygnja prawne, i podali przedmioty te trzem czarno ubranym książętom. Następnie członkowie dworu królewskiego przystąpili do trumny, i wzięli ją na ramiona. Orszak posuwał się ku otwartemu lochowi Burbonów — cicho, bez szelestu, jak gdyby płynąc po kamiennych płytach posadzki, a potem spuszczać się począł w podziemia przy odgłosie przyciszonej melodji organów i śpiewów żałobnych. Gdy trumna spuszczona już została do grobu, zeszedł tam za nią mistrz ceremonji i wywoływał po kolei heroldów; ci zbliżali się, niosąc jeden ostrogi, drugi rękawice, trzeci pieniądz koronny, czwarty pieczęć królewską, piąty kolczugę. Następnie krajczy korony przyniósł miecz królewski, a pierwszy z szambelanów sztandar francuski — a gdy już wszyscy dygnitarze, szambelani, marszałkowie, przesunęli się w milczeniu ku grobom, dał się słyszeć z podziemia głos mistrza ceremonji, wołający trzykrotnie:

„Król umarł, niech żyje król!“

Okrzyk ten powtórzył stojący w nawie głównej herold, i w tejże chwili zabrzmiały donośniej organy i dały się słyszeć odgłosy trąb i bębnów. W końcu świece zaczęły gasnąć, postacie zgromadzonych rozpływały się jakby we mgle, odgłosy śpiewów i dźwięki organów słabły i nikły, konając pod sklepieniem kościelnem, a w chwili, gdy ostatnie ich echa umilkły, znikło wszystko, i w kościele zapanowały znów: pustka i cisza.

I tak biedny stróż nocny ukryty za filarem, był jedynym świadkiem królewskiego pogrzebu, odbytego z całym przepychem dworskiego ceremonjału, a nazajutrz opowiadał wszystkim widzenie swoje, uważając je jako zadośćuczynienie dane przez duchy zaświatowe królewskim szczątkom, za profynację, jakiej poprzednio uległy.

Co więcej, wysnuwał stąd przepowiednię przywrócenia ich w przyszłości na dawne miejsce, co nawet ściągnęło na niego oburzenie skrajnych rewolucjonistów — i o mało nie zaprowadziło go na rusztowanie.

A jednak w 30 lat później byliśmy obaj obecni na pogrzebie Ludwika XVIII, który odbywał się zupełnie według tego samego ceremonjału, jaki oglądał niegdyś stróż nocny w kościele św. Djonizego. Zwłoki zaś królów powróciły do wypróżnionych grobowców.

— A teraz — dodał pan Lenoir — powiedz mi doktorze, czy i to zdarzenie nazwiesz halucynacją i obłędem?

Doktór nie odrzekł ani słowa, nie znajdując widocznie gotowych argumentów.

BIAŁE NOCE.

Dzieje Nastienki.

— Połowę moich dziejów pan już zna, to jest pan wie, że mam starą babkę.

— Jeżeli i druga połowa taka niedługa, to... — wtrąciłem, śmiejąc się.

— Proszę mi nie przerywać. Przedewszystkiem umowa: słuchać i nie przerywać, bom gotowa poplątać. No więc proszę słuchać: mam starą babkę. Dostałam się do niej w dzieciństwie jeszcze, bo i ojciec i matka mi umarli. Babka musiała się dawniej lepiej mieć, bo wspomina o lepszych czasach. Babka także nauczyła mnie po francusku i zgodziła dla mnie nauczyciela. Kiedy miałam lat piętnaście (teraz mam siedmnaście) przestałam się uczyć. Wtedym to nabroiła. Com zrobiła, nie powiem panu, dość, że przewinienia wielkiego nie było. Wtedy to babcia

zawołała mnie do siebie i powiedziała, że ponieważ nie widzi, więc nie może za mną chodzić, wzięła szpilkę i przypięła moją suknię do swojej i oświadczyła, że będziemy tak siedziały całe życie, jeżeli się nie poprawię. Słowem, z początku wyrwać się ani rusz: pracuj, czytaj, ucz się — wszystko tuż koło babki. Spróbowałam raz wziąć się na sposób; namówiłam Teklę, by siadła na moje miejsce. Tekla — nasza służąca, głucha. Siadła na mojem krzesełku, babcia przez ten czas spała w fotelu, a ja wymknęłam się do koleżanki w pobliże. Źle się jednak skończyło. Babcia przez ten czas się obudziła i zapytała o coś. Tekla widzi, że babcia o coś pyta, ale nie słyszy, myślała, myślała, co ma zrobić, aż wreszcie odpięła szpilkę i uciekła.

Tutaj Nastienka zaczęła się śmiać. Zaśmiałem się wraz. Przestała odrazu.

— Nie można się wyśmiewać z babci, panie. Ja się śmieję dlatego, że to śmieszne. Cóż robić, gdy babunia już taka, a jednak ja ją trochę kocham. No tak, oberwałam wtedy: posadzono mnie na nowo i już ani — ani ruszyć się nie było wolno.

— A zapomniałam panu powiedzieć, że mamy, to jest babcia ma dom, to jest domek mały, drewniany, trzy okna wszystkiego, na górze facjatka; otóż przybył nowy lokator tej facjatki...

— Z czego wynika, że był i stary lokator? — wtrąciłem.

— Naturalnie, że był — odpowiedziała Nastienka — i umiał nawet lepiej milczeć od pana. Co prawda, to on nawet ledwie już ruszał językiem. Staruszek suchy, niemy, ślepy, chromy — zaczęło mu więc być niemożliwie na świecie — umarł; zaszła potrzeba na nowego lokatora, bez lokatora wyżyć nam nie sposób, bo komorne i emerytura babci, to cały nasz dochód. Nowy lokator, jakby naumyślnie był młody, przyjezdny, nie tutejszy. Że się nie targował, więc babcia go przyjęła, a potem pyta: „słuchaj Nastienka, ten nasz lokator to młody, czy nie?“ Skłamać nie chciałam: tak, mówię, babciu, nie można powiedzieć, żeby był bardzo młody, ale nie stary.

— „A powierzchowność przyjemna? — pyta babunia.

„Znowu kłamać nie chcę. Tak jest, przyjemna, babciu, powierzchowność. Ale babcia: „ach, kara, kara! Mówię ci to wnuczko dlatego, żebyś się w niego nie wpatrywała. Co to za czasy teraz! Taki groszowy lokator, a powierzchowność przyjemna; nie to za moich czasów.

„A u babci ciągle tylko te jej czasy. I młodsza była za swoich czasów, i słońce za jej czasów cieplejsze, i śmietanka nie kwaśniała — wszystko za jej czasów! Siedzę tak, milczę, a rozmyślam wciąż: co to jest, że babcia mnie tak napomina i pyta, czy ładny, czy młody lokator? Ale ledwom pomyślała, jak równocześnie zaczęłam liczyć oczka, robić dalej pończochę, a potem zapomniałam zupełnie.

„Ale otóż jednego dnia zrana przychodzi lokator przypomnieć, że mu obiecano pokój wytapetować. Słowo do słowa, babcia jest gadatliwa; naraz powiada: „idź no Nastienka do mojego pokoju, przynieść rachunki“. Zerwałam się w tej chwili, zaczerwieniłam się, sama nie wiem z jakiego powodu, cała i zapomniałam, żem szpilką przymocowana do babci, nie wyjęłam szpilki ostrożnie, tak, by lokator nie widział, — tylkom ruszyła z miejsca, aż babcine krzesło poleciało za mną. Gdym zobaczyła, że lokator wszystko już wie o mnie — oblałam się krwią, wrosłam w ziemię, i naraz rozbeczałam się, — taki wstyd, taka gorycz naszła na mnie w ten moment, że wolałabym nie żyć! Babcia krzyczy: czegóż ty stoisz? A ja jeszcze bardziej... lokator zobaczył, że się wstydzę wobec niego, ukłonił się i w tej chwili wyszedł.

„Od tego dnia, ledwo usłyszę kroki w sieni, martwieję. Lokator, myślę, idzie — i powolutku wyciągam szpilkę, na wszelki wypadek. Ale zawsze okazało się: nie on. Nie przychodził. Przeszły dwa tygodnie; lokator przez Teklę zapytuje, czy babcia nie życzy sobie, by jej przysłał jaką książkę, że ma dużo francuskich, że książki ładne, może ja więc babci będę mogła czytać głośno, aby się tak nie przykrzyło? Babcia zgodziła się z wdzięcznością; ciągle tylko pytała, czy książki moralne, dlatego, że są książki niemoralne, więc ty ich, Nastienko, czytać nie możesz, nauczyłabyś się czego złego. Jakież on te książki przysłał?

— „Romanse Walter Scotta, same, babciu.

— „Walter Scotta romanse! A zobacz-no, czy nie wsunął jakiej kartki miłosnej.

— „Nie — powiadam — babciu, niema.

— „Ale zobacz pod oprawą; oni, rozbójnicy, oprawiają czasem w papier, a pod papier pchają bileciki.

— „Nie, babciu, i pod oprawą niema.

— „No, o to właśnie idzie.

„Zaczęłyśmy czytać Walter Scotta i przeczytałyśmy z połowę. Potem zaś on przysyłał ciągle i ciągle. Przysyłał Puszkina, tak, że wreszcie bez książek nie umiałam się obejść i przestałam myśleć, jakby wyjść za księcia chińskiego.

„Tak stały sprawy, gdy mi się zdarzyło pewnego razu spotkać na schodach naszego lokatora. Babcia mnie po coś wysłała. Zatrzymał się, ja się zaczerwieniłam i on się zaczerwienił; roześmiał się jednakże, przywitał mnie, spytał o zdrowie babci i mówi: „książki pani przeczytała?“. Odpowiedziałam: „przeczytałam“. „Cóż się pani, mówi, najwięcej podobało?“ Mówię: „Iwanhoe i Puszkin najwięcej mi się podobały“. Tym razem skończyło się na tem.

„Za tydzień znowu-m mu się nawinęła na schodach. Tym razem nie babcia mnie wysłała, lecz sama miałam jakiś interes. Była trzecia godzina, lokator wracał zawsze wtedy do domu. „Dzień dobry“ mówi — „Dzień dobry“.

— „Nie przykrzy się pani cały dzień tak siedzieć z babcią — pyta mnie.

„Gdy mnie to zapytał, sama nie wiem dlaczego, zaczerwieniłam się, zawstydziła i znowu zaczęło mi być przykro, widocznie z tego powodu, że już obcy człowiek zaczyna się o to nawet pytać. Chciałam odejść bez odpowiedzi, ale brakło mi sił.

— „Niech mnie pani posłucha — mówi — pani jest dobra dziewczyna! Proszę mi wybaczyć, że tak wprost mówię, ale zaręczam, że więcej od babci życzę pani dobrego. Przyjaciółek pani nie ma żadnych?

„Mówię, nie mam. Miałam Maszeńkę i ta wyjechała do Pskowa.

— „Niech mnie pani posłucha, do teatru nie pojechałaby pani ze mną?

— „Do teatru? A babcia?

— „W sekrecie przed babcią.

— „Nie — powiadam — nie mogę babci oszukiwać. Do widzenia.

— „Ano, do widzenia — mówi i na tem koniec.

„Ale po obiedzie, patrzę, przychodzi do nas; siadł, rozmawiał długo z babcią, rozpytywał, czy babcia gdzie bywa, czy nie ma znajomych i naraz mówi: — „A wziąłem na dziś lożę do teatru, dają „Cyrulika Sewilskiego“; miałem iść ze znajomymi, ale ci się rozmyślili potem, został tylko bilet.

— „„Cyrulika Sewilskiego!“ — zawołała babcia — tego samego, którego śpiewano za moich czasów?

— „Tak jest, tego samego — i spojrzał na mnie. A ja już wszystko zrozumiałam, zaczerwieniłam się, serce zaczęło mi bić z oczekiwania...

— „Znam, znam — mówi babcia. — Jakżebym nie znała; w teatrze naszym amatorskim w domu grałam Rozynę!

— „Może więc pani szanowna zechce dziś pojechać? I tak się bilet marnuje.

— „Ano, to jedźmy — mówi babunia — dlaczegóżbyśmy nie miały jechać? Nastienka nawet nigdy nie była w teatrze.

„Boże mój! co za radość!! W tej chwiliśmy się ubrały, wystroiły i pojechaliśmy. Babcia jednak, choć ślepa, chciała przecież muzyki posłuchać, a oprócz tego dobra z niej staruszka, więc bardziej to dla mnie, niż dla siebie zrobiła; same nie wybrałybyśmy się nigdy. Jakie wrażenie zrobiła na mnie opera, nie powiem, ale lokator nasz przez cały ten wieczór tak ślicznie na mnie patrzył, tak ślicznie mówił, żem odrazu doszła, co znaczy ranna propozycja: chciał się przekonać, czy samabym z nim pojechała. Jaka to była radość! Do łóżka położyłam się taka dumna, taka szczęśliwa, serce mi tak biło, żem dostała nawet lekkiej gorączki i bredziłam o „Cyruliku Sewilskim“.

„Myślałam, że potem zacznie do nas przychodzić coraz częściej i częściej, — nie prawda. Przestał prawie. Zajdzie tak raz na miesiąc i tylko po to, aby zaprosić do teatru. Dwa razy jeszcze potem pojechałyśmy, ale byłam już zupełnie niezadowolona. Widziałam, że jemu poprostu mnie żal tylko., że tak siedzę u babki za piecem — a więcej nic. A na mnie tymczasem coraz bardziej: ni to siedzę, ni pracuję, ni czytam; czasem się zaśmieję, babce coś na złość zrobię, czasem rozbeczę się. Nareszcie schudłam i omal, że się nie rozchorowałam. Sezon operowy skończył się i lokator przestał zupełnie do nas chodzić, a gdyśmy się spotykali — jak zawsze na schodach, naturalnie — to kłania mi się tak milcząco, tak poważnie i idzie wprost do siebie, podczas gdy ja nie mogę ruszyć z miejsca, czerwona jak wiśnia, bo krew mi uderzała do głowy przy każdem z nim spotkaniu.

„Teraz będzie już koniec zaraz. Akurat rok temu w maju, lokator przychodzi i mówi babci, że sprawy swoje tutaj już ukończył i że odjeżdża z powrotem do Moskwy. Gdym to usłyszała — zbladłam i upadłam na krzesełko, jak nieżywa. Babcia nic nie zauważyła, a on, oświadczywszy, iż odjeżdża od nas, ukłonił się i wyszedł.

„Co ja mam robić? Myślałam — myślałam, martwiłam się — martwiła, aż wreszcie postanowiłam. On odjeżdżać miał jutro, a ja postanowiłam, że skończę ze wszystkiem jeszcze dziś wieczór, kiedy babcia pójdzie spać. Zawiązałam w tobołek, co tylko miałam ubrania, bielizny, co niezbędne i z tobołkiem tym w rękach ni to żywa, ni to martwa, poszłam na facjatę do naszego lokatora. Wydaje mi się, że przez schody szłam z godzinę. Gdym otworzyła do niego drzwi, on aż krzyknął, spojrzawszy na mnie. Pomyślał chyba, że to mara i rzucił się czemprędzej, by mi podać wody, bowiem nie mogłam ustać na nogach. Serce biło mi tak, że ból miałam w głowie; mózg nie działał. Gdym przyszła do siebie, tom rozpoczęła od tego, że węzełek położyłam na jego łóżko, koło węzełka padłam, zakryłam się rękoma i zapłakałam, jak mnie tylko stać było na to. On, zdaje się, w tej chwili wszystko zrozumiał i stał przedemną blady, tak smutnie patrzący, że we mnie serce się rwało.

— „Proszę mnie posłuchać — zaczął — panno Nasiu, ja nie mogę; jam biedny, do tej pory nie mam nawet posady, za cóż będziemy żyli, gdybym się ożenił?

„Rozmawialiśmy długo, aż wreszcie doszłam do stępienia i powiedziałam, że u babki mieszkać nie mogę, że ucieknę od niej, że nie chcę, by mnie szpilkami przypinano i że, jeźli on zechce, pojadę za nim do Moskwy, bo bez niego żyć nie mogę. I wstyd i miłość i duma — wszystko razem mówiło przezemnie tak, że omal nie w konwulsjach upadłam na łóżko. Takem się bała odmowy!

„Przez kilka minut siedział milczący, potem wstał, podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

„Posłuchaj mnie, moja droga, moja miła Nastienko, posłuchaj mnie pani! — zaczął ze łzami. — Przysięgam, że jeżeli kiedykolwiek będę mógł się ożenić, to pani da mi to szczęście. Zapewniam panią, że tylko... Pani jedna tylko może mi dać to szczęście. Proszę uważać: jadę do Moskwy i zostanę tam cały rok. Spodziewam się, że skończę swoje sprawy. Gdy wrócę, i gdy się stanie, że pani nie przestanie mnie kochać, to przysięgam, że będziemy szczęśliwi. Teraz zaś to niemożliwe i ja nie mogę, nie mam prawa nic obiecywać. Ale powtarzam: jeśli to nie będzie możliwe za rok, to kiedyś jednak bezwarunkowo być musi; naturalnie, o ile pani nie przełoży kogo innego nademnie, dlatego też wiązać pania żadnem słowem nie śmiem i nie mogę.

„Oto, co mi powiedział i nazajutrz odjechał. Postanowiliśmy babci nic o tem nie mówić, ani słowa. On tego chciał. I moje dzieje prawie już skończone. Rok minął. Przyjechał z Moskwy, jest tutaj już od trzech dni i... i...

— I co? — z niecierpliwem pragnieniem zawołałem.

— I do tej pory nie zjawia się! — odpowiedziała Nastienka, jakby zwalczając coś w sobie. Ani słychu...

Urwała, przez chwilę milczała, głowę spuściła na dół i naraz ukrywszy twarz w dłonie, zaniosła się płaczem tak, że we mnie serce wstrząsnęło się od tego jęku.

Ani na chwilę nie spodziewałem się takiego rozwiązania.

— Nastienka! — zacząłem nieśmiałym głosem, jakby chyłkiem. — Nastienka! Na miłość boską, niech pani nie płacze! Skąd pani wie? może go jeszcze niema?...

— Jest, jest! Ja wiem, że jest. Mieliśmy warunek umówiony wtedy jeszcze, w przededniu jego wyjazdu: gdyśmy powiedzieli sobie już wszystko, com panu teraz powtórzyła, poszliśmy przejść się tutaj na bulwar. Była dziesiąta; siedzieliśmy na tej ławeczce; nie płakałam już, słodko mi było słuchać, co mówił do mnie... Powiedział, że w tej chwili po przyjeździe przyjdzie do nas i powiemy o wszystkiem babci, jeżeli ja się nie cofnę. Teraz przyjechał, wiem o tem, i niema go, niema go!

I znowu płacz.

— Boże mój! Więc czyżby naprawdę nie było rady? — zawołałem, wstając z ławki w zupełnej rozpaczy. — Może jabym mógł iść do niego?...

— Alboż to możliwe? — zapytała naraz, podniósłszy głowę.

— Nie, niemożliwe! Naturalnie: nie! — zauważyłem dopiero wtedy. — Ale ot co: niech pani napisze list.

— Nie, to niemożliwe, nie można! — odpowiedziała stanowczo, ale już głowę opuściła na dół i nie patrzyła na mnie.

— Jakto nie można? Dlaczego nie można? — uczepiłem się swojej idei. — Aby tylko napisać odpowiednio. Bo, proszę pani, list do listu nie podobny... Panno Nasiu... proszę polegać na mnie... Niech pani mi wierzy! Nie radzę pani źle. — wszystko można urządzić! Pierwszy krok już pani zrobiła — więc dlaczegóż teraz...

— Nie można, nie można. Napraszałabym się tym sposobem.

— Ach, panno Nasiu, jaka pani... — przerwałem jej, nie kryjąc się z uśmiechem — skąd

znowu? Skoro pani przyrzekał, pani ma prawo zapytania... Ze wszystkiego zaś widzę, że jest człowiekiem czującym, delikatnym, że postąpił uczciwie — nie przerywałem sobie, coraz bardziej zachwycając się logiką swoich dowodów i argumentów. — Jak postąpił? Siebie związał obietnicą, powiedział, że z nikim się nie ożeni, tylko z panią, jeżeli tylko się ożeni; — pani pozostawił zupełną wolność... A więc pani może zrobić krok pierwszy, pani ma prawo, pani ma nad nim przewagę, że pani może, przypuśćmy, zwolnić go ze słowa...

— Przepraszam, że przerywam. Pan jakby napisał?

— Co?

— No ten list?

— Oto jakbym napisał:

„Sanowny Panie...

— Szanowny panie — musi być.

— Musi! Chociaż dlaczego? Myślę...

— Dalej, dalej.

„Szanowny Panie.

„Proszę mi wybaczyć, że...“ Chociaż nie, żadnych wybaczeń nie potrzeba, żadnych tłomaczeń się! Sam fakt tu tłomaczy. Niech pani pisze wprost:

„Piszę do Pana. Proszę mi wybaczyć moją niecierpliwość; cały rok byłam szczęśliwa nadzieją; czyż moja wina, że nie mogę wytrzymać i dnia niepewności. Po przyjeździe, być może, Pan zmienił postanowienie. Niech więc to pismo powie Panu, że nie skarżę się i nie winię Go. Nie oskarżam Pana o to, że nie władam już nad sercem Pana — taki już mój los!

„Pan jesteś człowiekiem szlachetnym. Nie uśmiechnie się pan i nie rozzłości na moje niecierpliwe wiersze. Proszę sobie przypomnieć, że pisze je dziewczyna biedna, zostawiona sobie samej, nie mająca nikogo, coby ją nauczył lub dał radę — dziewczyna, która nigdy nie umiała panować nad sercem własnem. Ale proszę mi wybaczyć, że do duszy zakradła się wątpliwość. Pan nie jesteś zdolny nawet myślą obrazić tę, która Pana tak kochała i kocha“.

— Tak jest, tak! Co do słowa tak samo myślałam! — zawołała Nastienka i radość błysnęła w jej oczach. Paneś rozwiał moje wątpliwości, sam Bóg Pana mi zesłał! Dziękuję, dziękuję Panu!

— Za co? Za to, że mnie Pan Bóg posłał?— odpowiedziałem z zachwytem, patrząc na jej rozjaśnioną twarzyczkę.

— Choćby za to.

— Ach, Nastienka! Dziękujemy przecie niektórym ludziom za to, że razem z nami żyją na świecie. Ja pani dziękuję za to, żeśmy się zeszli w życiu, za to, że do grobu będę Panią wspominał!

— No, dość już, dość! A teraz ot co, niech pan posłucha; umówiliśmy się, że gdy tylko przyjedzie, zaraz da znać o sobie, zostawiając do mnie list u pewnych wspólnych znajomych naszych, dobrych i prostych ludzi, który o niczem w tej sprawie nie wiedzą. Gdyby zaś listu napisać nie mógł lub nie chciał, z tego względu, że niezawsze w liście można się wypisać, to tego samego dnia, kiedy przyjedzie, będzie tutaj na bulwarze o godzinie dziesiątej — że tu się mamy spotkać; o jego przyjeździe wiem już, ale oto upływa trzeci dzień — i niema ani jego, ani listu. Niechże więc pan odda jutro mój list tylko dobrym ludziom, o których mówiłam: oni go już wręczą, a jeśli będzie odpowiedź, to mi ją pan będzie mógł przynieść wieczorem o dziesiątej.

— Ale list, list! Wszakże przedtem trzeba napisać go. Zaledwie więc pojutrze będzie można mieć odpowiedź.

— List... — odpowiedziała Nastienka, trochę zmieszana — list...

Nie domówiła. Odwróciła zrazu odemnie twarzyczkę, pokraśniała jak róża i naraz uczułem na swojej ręce list, najwidoczniej dawno już napisany, włożony w kopertę, zapieczętowany. Jakieś miłe, znane wspomnienie przemknęło mi przez głowę!

— R,o-Ro,-zy,n,a-na — zacząłem.

— Rozyna! zaśpiewaliśmy naraz oboje, ja omal, że nie ściskając ją z zachwytem, ona cała ponsowa, rubinowa, śmiejąca się z za łez, które jak perły, drżały na jej czarnych rzęsach.

— No dość, dość! Teraz: dobranoc! — rzekła szybko. — Oto list, adres napisany, będzie pan wiedział, gdzie zanieść. Dobranoc! Do widzenia! Do jutra!

Mocno ścisnęła mi obie ręce, kiwnęła głową i, jak strzała pomknęła w swój zaułek. Długo stałem na miejscu, idąc za nią oczami.

— Do jutra! do jutra! — przeszło mi, przeniosło się przez głowę, gdy zniknęła mi z oczu.

(C. d. n.)

O nowej odmianie żyta szlachetnego „ASKANIA“.

Do niedawnego czasu jeszcze celem uszlachetnienia zbóż główną uwagę zwracano wyłącznie na staranną uprawę roli i silne jej nawożenie. Wkrótce jednakże mimo tych zabiegów osiągnięte rezultaty przekonały rolników, że zboża zupełnie się nie poprawiły lecz jeszcze w skutek za silnego znawożenia naraziły na straty, przez częste wyleganie. Przy tej sposobności spostrzeżono także, że zboża wyprodukowane w dobrej glebie obficie nawiezionej, zasiane później na ziemi nieposiadającej tych kwalifikacyj wkrótce traciły swą plenność i wyradzały się. Dlatego też bardzo ważnym czynnikiem w uprawie roślin kłosowych jest wybór stosownego nasienia. Nie jest to tak łatwa rzecz jak się to na pierwszy rzut oka może zdaje; i zbyt często mylimy się, jeżeli sądzimy, że najlepiej jest trzymać się odmian, które z dawien dawna uprawiane bywają w pewnej okolicy. W tym kierunku bardzo na miejscu są próby z nowemi odmianami, które, jak doświadczenie uczy, bardzo często przewyższają dawniejsze gatunki tak w wydatności jak i w jakości plonu.



Pole zasiane żytem „Askania“.

Nie chodzi tu o wyprodukowanie odmiany któraby przy użyciu nieracjonalnych środków: jak zbytnie nawożenie, uprawa ogrodowa i t. p. anormalne warunki, wydała tylko przez jeden rok dobre rezultaty, lecz chodzi o uzyskanie gatunku pewnego, któryby się tak prędko nie wyrodził i któryby mógł zająć dominujące stanowisko na targu zbożowym.

Sposobem najwięcej używanym do uzyskania szlachetnych odmian jest krzyżowanie zbóż, które wymaga wielkiej wprawy i umiejętności oraz cierpliwości i większego nakładu pieniędzy.

Później dopiero następuje selekcja czyli staranny dobór jednakowej formy kłosów i typowych cech dotyczącego gatunku, które pozostają zawsze w stałym wzajemnym stosunku u roślin. Z uzyskanych w ten sposób kłosów przycina się górną i dolną część i wykrusza tylko ziarno znajdujące się w środku kłosa. Nasienie starannie oczyszczone wysiewa się dla dalszej produkcji w tak zwanej szkółce zbożowej. Czeskie gatunki zbóż cieszą się już od dawnych czasów szczególnie dobrą opinją.

W ostatnich czasach wyprodukowała firma Ernest Bahlsen gatunek żyta, który nazwała „Askania“.

Żyto to udało się uzyskać przez długoletnie próby i rozmaite krzyżowania, przedsięwzięte z żytem „Tryumf“. „Askania“ wyróżnia się ciężkiem ziarnem, otoczonem delikatną łuską i rozplenia się tak nadzwyczajnie, że nierzadko znachodzi się w pojedynczych krzewach 20—30 kłosów.

Słoma w zwykłych warunkach ma 2—2·20 mtr. wysokości a jest tak silną, że powalenie się kłosów jest niemożliwem. Ziarna tkwią silnie w dobrze rozwiniętych kłosach i to chroni je od wypadania. Czas kwitnienia przypada o 8—14 dni później aniżeli przy zwykłem życie, skutkiem czego kwitnące kłosy nie cierpią od burz i przymrozków wiosennych. Żyto to posiada niedoścignioną odporność na wszystkie zmiany powietrza i nadaje się do uprawy w miejscach wysoko położonych i wystawionych na ostre wiatry. Ponieważ żyto „Askania“ ogromnie się rozplenia, powinno się je bardzo rzadko siać w ilości 50—60 klg. na mórg 1600 □ sążni, a osiągnie się plon 16—20 cetnarów z morga.

Powyższe żyto można śmiało postawić w rzędzie najdoskonalszych zagranicznych uszlachetnionych hodowli.

M. D.

* * *

Co powiecie państwo na to,
Że dopiero mamy lato?
Że, gdy kończą się dni sierpnie,
Skóra przecie ci nie cierpnie;
Że iść możesz w lasy, pola,
Bez kaloszy, parasola?
Że dopiero pierś zakrzepła
Dzisiaj może użyć ciepła;
Ze, wbrew wróżbom kalendarzy,
Dziś się nikt nie zakatarzy;
Że, gdy żonki już z powrotem,
Słonko rzuca. sieje złotem,
A jak mąż grał rolę wdowca,
Nie wyjrzało z pod pokrowca?
Że tak czerwiec, jak i lipiec,
Zamiast ogrzać, zamiast przypieć,
Lały deszczem, biły grzmotem,
Co myślicie państwo o tem?

Ja bym radził przedewszystkiem
Naiwności wzgardzić listkiem
I, miast gniewać się i ciskać,
Ten niezwykły fakt wyzyskać,
I w pogodę ustaloną
Samemu się rozstać z żoną,
W świat wyruszyć, w świat szeroki,
W górskie szczyty, nad potoki,
W wonne gaje, łąk kobierce,
Skrzepić ducha, skrzepić serce;
Myśl ulotnić w błękit nieba,
Wziąwszy z domu, co potrzeba,
Gdyby zaś brakło w drodze,
Pisać z drogi swej niebodze:
„Luba! miła! cna! Coprędzej
Przyślij, duszko, mi pieniędzy!“
Obiecując w zamian za to
Dać jej urlop w babie lato.

El.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.